

LIDIA ZAMKOW

Zaczynała jako aktorka. Po konspiracyjnych studiach w okupowanej Warszawie tuż po wyzwoleniu związała się z Teatrem Wojska Polskiego, jeszcze wtedy, w pierwszych miesiącach stabilizacji, spełniającym funkcję teatru objazdowego. Z tymże zespołem w żołnierskich mundurach przyjechała z początkiem lutego 1945 r. do Krakowa — z „Weselem”. W niespełna trzy tygodnie po wyzwoleniu podwawelskiego grodu grała Isię na scenie im. Słowackiego — dziś wstawionej jej znakomitymi spektaklami, wśród których w ostatnim roku właśnie „Wesele” stało się wydarzeniem szeroko dyskutowanym w całym kraju.

Gdy Teatr Wojska Polskiego znalazł stałą siedzibę w Łodzi, namówiona przez dyrektora Schillera podjęła tu studia reżyserskie. Już w 1949 r. na scenie Teatru im. Jaracza zadebiutowała jako reżyser „Omyłką” Prusa (w adaptacji Erwina Axera, z Kazimierzem Dejmkiem w roli głównej...).

I tak zaczęła się kariera reżyserska Lidii Zamkow. Pierwszy etap — znówu Teatr im. Słowackiego. Pierwsza praca reżyserska na tej scenie: asystentura przy realizacji przez Bronisława Dąbrowskiego słynnego spektaklu „Lubow Jarowaja” Treniewa. A potem już samodzielne spektakle: „Brygada szlifierza Karhana”, „Turcaret”, „Uczone białogłowy”, „Pociąg do Marsylii”, za którą to realizację młoda reżyser w spódnicę otrzymała Nagrodę Państwową. Był rok 1953; nazwisko Zamkow zaczęło się poważnie liczyć w polskim teatrze. Otrzymuje dyrekturę Teatru „Wybrzeże” w Gdańsku, skąd, po niepełnych dwu sezonach, przenosi się do Warszawy, swój dwuletni pobyt w Teatrze Dramatycznym znacząc kilku wybitnymi spektaklami — od prapremiery



Fot. W. Sztander

ska. A więc — by wymienić tylko pozycje najwybitniejsze: „Kapitan z Koepenick”, „Na dnie”, „Medea”, „Indyk”, „Matka Courage i jej dzieci”, „Sen”, „Kaligula”, „Tragedia optymistyczna”, „Makbet”, „Król Edyp”, „Wesele”, „Sceny z miasta powiatowego”. Obok osiągnięć reżyserskich — osiągnięcia aktorskie: niezapomniana Mutter Courage, dyskusyjna Medea, wstrząsająca Lady Makbet...

Próby z „Juliusza Cezara” przerwała ciężka choroba. Po jej zwalczeniu skomplikowały się artystyczne losy Lidii Zamkow. W tej chwili — jak to określa — ogłosiła w swej artystycznej drodze „rok telewizyjny”, traktując to jako potrzebną higienę zawodową, jako moment skupienia, spojrzenia z dystansu na własną pracę sceniczną.

— Co pani przygotowuje w telewizji?

— Po „Ludziach bezdomnych” (nadawanych z Katowic) przystępuję do przygotowania telewizyjnego „Wesela”, które zrealizuję w telewizji stołecznej. Teraz, na małym ekranie, będę mogła przeprowadzić moją inscenizacyjną propozycję, której nie udało mi

się zrealizować w teatrze. A mianowicie dokonać w tej sztuce zmiany malarstwa Matejki na malarstwo Wyspiańskiego. Oczywiście, podobnie jak w przedstawieniu na deskach Teatru im. Słowackiego, nie będzie i w moim telewizyjnym „Weselu” zjaw, duchów; będzie ukazane „co się komu w duszy gra”, będzie wewnętrzny rozrachunek weselnych gości, będą moralne problemy, za które każda z postaci sztuki bierze na siebie pełną odpowiedzialność. A wszystko ukazane na tle malarstwa, parafrazy malarstwa (w ujęciu Lidii i Jerzego Skarżyńskich) autora „Wesela”. Tu już nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie jestem wierna Wyspiańskiemu...

— Oto i dotykamy problemu bardzo istotnego i szeroko dyskutowanego w dzisiejszej sztuce inscenizacyjnej; dokąd sięga granica interwencji reżysera w tekst literacki?

— Ani konstytucja ani kodeks prawny nie ograniczają w niczym reżysera; może on więc — wszystko. To zależy, a poważnie: sprawa zależy od taktu twórcy teatralnego, jego kultury, smaku i miłości do literatury. Tej miłości istotnej, głębszej, nie kontentującej się powielaniem obrazu dzieła drama-

tycznego, lecz dążącej do tego, by było ono wiecznie żywe, by było bliskie współczesnemu odbiorcy. Taki był stosunek do literatury właśnie Wyspiańskiego-inscenizatora. I taki był stosunek do literatury mego profesora, Leona Schillera.

— Jak określiłaby Pani siebie jako reżysera, styl swoich przedstawień, koncepcję, wizję swego teatru?

— Uważam się za typowego moralistę teatralnego. Nieustannie interesują mnie jako reżysera problemy etyczne. Szukając modelu współczesnego bohatera, szukam go w kategoriach moralnych. Wszystkie sztuki, jakie realizuję, traktuję z góry jako moralitety. Oczywiście w ich reżyserii używam różnych środków wyrazu, ale czy to będzie Brecht, czy Szekspir, Gorki lub Sofokles, nadrzędną sprawą przedstawienia ich sztuki będzie zawsze walka dobrego ze złem. Nie uprawiam teatru psychologicznego, coraz bardziej odchodzę od teatru epickiego.

— A zatem zwrot ideowo-artystyczny.

— Tak. Zauważyłam w sobie tendencję do teatru moralitetowego przy inscenizacji „Na dnie”, którą do dziś uważam za moją

najcenniejszą pracę teatralną. Właśnie w tym przedstawieniu finał sztuki potraktowałam jako „ostatnią wieczność”, przy której tacy sami nędzarze jak owi biblijni szukali nowego ładu moralnego, bo ład znaleziony przed XX wiekiem wydaje się dzisiaj, i wydawał się już Gorkiemu, nie wystarczający dla współczesnego świata, dla współczesnego życia. A więc poszukiwanie nowych zasad moralnych, nowego dekalogu. Czyli moralitet! Moralitetem było dla mnie „Zmartwychwstanie”, które robiłam w teatrze katowickim i „Król Edyp”. Moralitetem jest „Wesele” — jeden z największych utworów światowej literatury, utwór bez jednego bohatera negatywnego, ale aż czerwony od konfliktów.

— Wróciliśmy do telewizyjnych planów. Co jeszcze prócz „Wesela” ujrzymy w najbliższych miesiącach w Pani realizacji na małym ekranie?

— Moje programy małych form: „Jest w piekieł miejsce zwane...” — realizowane wspólnie z Leszkiem Herdegenem i Wojciechem Ziębarskim — oraz „Urodziła się jak wróbel” — program o Edith Piaf.

— ...którym debiutowała Pani w monodramie. A debiutowała z pełnym powodzeniem, czego najwymowniejszym wyrazem była czołowa nagroda na tegorocznym Festiwalu teatrów jednego aktora we Wrocławiu. Czy po sukcesach programów teatru małych form pamiętamy, że wspomniany wyżej spektakl oświęcimski otrzymał Grand Prix i główną nagrodę publiczności na Przeglądzie szczyńskim) planuje Pani dalsze poszukiwania w tej dziedzinie?

— Małe formy to moja „specjalność”. Były programy „No more Hiroshima”, „Pieśń oskarżona” i „Jestem niewinny” (o zbrodniarzach hitlerowskich). W tej chwili przygotowuję „Pamiętnik z powstania warszawskiego” Mirona Białoszewskiego. Myślę także o przeniesieniu na ekran telewizyjny znakomitej noweli Iwaszkiewicza „Młyn nad Kamionką”. W ogóle pomysłów mam mnóstwo, a tu jeszcze dom i dziecko...

— Jest Pani znana ze swej pracowitości i niespożytej energii. Nie tylko twórczej. Była mowa o dziecku. A więc może słów kilka jeszcze o Piotrusiu.

— Dziecko jest zawsze w moim życiu na pierwszym planie, poza

wszystkimi inscenizacjami. Myślę nawet, że bez tego „prywatnego zaplecza życiowego” nie powstałyby moje prace teatralne, a w każdym razie nie takie, jakie powstają. Moja sztuka wynika z nieustannej myśli o tym, jak wychować Piotrusia, jak znaleźć się w każdej związanej z nim sytuacji życiowej, czego go uczyć, do czego w jego życiu zmierzać. Kreować człowieka to dużo więcej niż stworzyć 25 realizacji scenicznych. Z tych niepokojów matki, z tej pedagogiki indywidualnej pozostaje mi luźny materiał, który wykorzystuję do realizacji sztuk teatralnych...

— Ale niczego nie dowiedzieliśmy się o samym Piotrusiu.

— Ma 14 lat i niesłychane zdolności językowe. Aha, i jeszcze debiutował jako aktor! Grał Franka Judyma w „Ludziach bezdomnych”. W tej telewizyjnej wersji powieści Zeromskiego występował także nasz ukochany pies — bernardyn Raul. Spacerował po deptaku w Cisach pozując do pamiatkowych zdjęć kurortu.

— A że Leszka Herdegena oglądaliśmy w roli Judyma — realizowała „Ludzi bezdomnych” cała rodzina.

— W Katowicach rezerwowano dla nas apartament: dla trzech osób z psem. Wprawdzie przepisy zabraniają przyjmowania psów do hotelu, ale Raula jako „artystę” potraktowano na wyjątkowych prawach...

— Do „rodziny” Zamkow i Herdegena należy jeszcze polski fiat?

— Samochód jest dla nas nie tyle źródłem przyjemności, co przede wszystkim środkiem transportu. Bardzo wiele jeździmy — często na tzw. daleką prowincję — z naszymi programami małych form teatralnych. Własne auto jest po prostu nieodzowne w naszej pracy.

— Na pożegnanie pytanie zupełnie osobiste: czy ma Pani jakieś marzenie? Może osobistej natury, może artystyczne?

— Osobiste, prywatne — nie. Mam idealnego towarzysza życia, ukochane dziecko. A marzenia artystyczne? Dużo. Ale przede wszystkim marzę o przemianach i stabilizacji w życiu teatralnym. Bo w dzisiejszych warunkach — niemożności dalekosiężnych planów, braku perspektyw — nie można pracować. Ja nie mogę!

Rozmawiała:
KRYSZYNA ZBIJEWSKA

cym funkcję pozbawionego. Z tymże zespołem w żołnierskich mundurach przyjechała z początkiem lutego 1945 r. do Krakowa — z „Weselem”. W niespełna trzy tygodnie po wyzwoleniu podwawelskiego grodu grała Isię na scenie im. Słowackiego — dziś wslawionej jej znakomitymi spektaklami, wśród których w ostatnim roku właśnie „Wesele” stało się wydarzeniem szeroko dyskutowanym w całym kraju.

Gdy Teatr Wojska Polskiego znalazł stałą siedzibę w Łodzi, namówiona przez dyrektora Schillera podjęła tu studia reżyserskie. Już w 1949 r. na scenie Teatru im. Jaracza zadebiutowała jako reżyser „Omyłką” Prusa (w adaptacji Erwina Axera, z Kazimierzem Dejmkim w roli głównej...).

I tak zaczęła się kariera reżyserska Lidii Zamkow. Pierwszy etap — znowu Teatr im. Słowackiego. Pierwsza praca reżyserska na tej scenie: asystentura przy realizacji przez Bronisława Dąbrowskiego słynnego spektaklu „Lubow Jarowaja” Treniewa. A potem już samodzielne spektakle: „Brygada szlifiera Karhana”, „Turcaret”, „Uczone białogłowy”, „Pociąg do Marsylii”, za którą to realizację młoda reżyser w spółnicy otrzymała Nagrodę Państwową. Był rok 1953; nazwisko Zamkow zaczęło się poważnie liczyć w polskim teatrze. Otrzymuje dyrekturę Teatru „Wybrzeże” w Gdańsku, skąd, po niepełnych dwu sezonach, przenosi się do Warszawy, swój dwuletni pobyt w Teatrze Dramatycznym znacząc kilku wybitnymi spektaklami — od prapremiery „Imion władzy” Broszkiewicza po „Tragedię optymistyczną” Wiszniewskiego, za której inscenizację otrzymuje po raz drugi Nagrodę Państwową.

Podwójna laureatka czołowego wyróżnienia artystycznego wraca do Krakowa, któremu wierna pozostaje do dziś, czując się po trosze krakowianką. Nic dziwnego, z miastem tym związała się jeszcze w czasie wojny, gdy po aresztowaniu ojca przez Niemców opuściła rodzinną Warszawę. Może fakt, że zamieszkała tu na ulicy Podzamcze, z widokiem na Wawel, sprawił, iż miasto ją oczarowało. W czasie okupacji jedyny związek z krakowskim teatrem polegał na pracy w sąsiedztwie Starego Teatru w... wytwórni szkła.

Teraz, jako znana reżyserka, rozwija w Krakowie żywą, obfitującą w artystyczne sukcesy działalność. A więc efektowny start „Wizytą starszej pani”, w którym to przedstawieniu Zamkow, jako odtwórczyni tytułowej postaci, dała się zarazem poznać jako ciekawa indywidualność aktor-

ska. A więc — by wymienić tylko pozycje najwybitniejsze: „Kapitan z Koepenick”, „Na dnie”, „Medea”, „Indyk”, „Matka Courage i jej dzieci”, „Sen”, „Kaligula”, „Tragedia optymistyczna”, „Makbet”, „Król Edyp”, „Wesele”, „Sceny z miasta powiatowego”. Obok osiągnięć reżyserskich — osiągnięcia aktorskie: niezapomniana Mutter Courage, dyskusyjna Medea, wstrząsająca Lady Makbet...

Próby z „Juliusza Cezara” przerwała ciężka choroba. Po jej zwalczeniu skomplikowały się artystyczne losy Lidii Zamkow. W tej chwili — jak to określa — ogłosiła w swej artystycznej drodze „rok telewizyjny”, traktując to jako potrzebną higienę zawodową, jako moment skupienia, spojrzenia z dystansu na własną pracę sceniczną.

— Co pani przygotowuje w telewizji?

— Po „Ludziach bezdomnych” (nadawanych z Katowic) przystępuję do przygotowania telewizyjnego „Wesela”, które zrealizuję w telewizji stołecznej. Teraz, na małym ekranie, będę mogła przeprowadzić moją inscenizacyjną propozycję, której nie udało mi

się zrealizować w teatrze. A mianowicie dokonać w tej sztuce zmiany malarstwa Matejki na malarstwo Wyspiańskiego. Oczywiście, podobnie jak w przedstawieniu na deskach Teatru im. Słowackiego, nie będzie i w moim telewizyjnym „Weselu” zjaw, duchów; będzie ukazane „co się komu w duszy gra”, będzie wewnętrzny rozrachunek weselnych gości, będą moralne problemy, za które każda z postaci szuka bierze na siebie pełną odpowiedzialność. A wszystko ukazane na tle malarstwa, parafrazy malarstwa (w ujęciu Lidii i Jerzego Skarżyńskich) autora „Wesela”. Tu już nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nie jestem wierna Wyspiańskiemu...

— Oto i dotykamy problemu bardzo istotnego i szeroko dyskutowanego w dzisiejszej sztuce inscenizacyjnej; dokąd sięga granica interwencji reżysera w tekst literacki?

— Ani konstytucja ani kodeks prawny nie ograniczają w niczym reżysera; może on więc — wazystko. To żartem, a poważnie: sprawa zależy od taktu twórcy teatralnego, jego kultury, smaku i miłości do literatury. Tej miłości istotnej, głębszej, nie kontentującej się powielaniem obrazu dzieła drama-

Fot. W. Sztander

tycznego, lecz dążącej do tego, by było ono wiecznie żywe, by było bliższe współczesnemu odbiorcy. Taki był stosunek do literatury właśnie Wyspiańskiego-inscenizatora. I taki był stosunek do literatury mego profesora, Leona Schillera.

— Jak określiłaby Pani siebie jako reżysera, styl swoich przedstawień, koncepcję, wizję swego teatru?

— Uważam się za typowego moralistę teatralnego. Nieustannie interesują mnie jako reżysera problemy etyczne. Szukając modelu współczesnego bohatera, szukam go w kategoriach moralnych. Wszystkie sztuki, jakie realizuję, traktuję z góry jako moralitety. Oczywiście w ich reżyserii używam różnych środków wyrazu, ale czy to będzie Brecht, czy Szekspir, Gorki lub Sofokles, nadrzędną sprawą przedstawienia ich sztuki będzie zawsze walka dobrego ze złem. Nie uprawiam teatru psychologicznego, coraz bardziej odchodzę od teatru epickiego.

— A zatem zwrot ideowo-artystyczny.

— Tak. Zauważyłam w sobie tendencję do teatru moralitetowego przy inscenizacji „Na dnie”, którą do dziś uważam za moją

„Jest w pięknie miejsce gwane...” — realizowane wspólnie z Leszkiem Herdegem i Wojciechem Ziętarskim — oraz „Urodziła się jak wróbel” — program o Edith Piaf.

— ...którym debiutowała Pani w monodramie. A debiutowała z pełnym powodzeniem, czego najwyższym wyrazem była czołowa nagroda na tegorocznym Festiwalu teatrów jednego aktora we Wrocławiu. Czy po sukcesach programów teatru małych form (pamiętamy, że wspomniany wyżej spektakl oświęcimski otrzymał Grand Prix i główną nagrodę publiczności na Przegłądzie szczecińskim) planuje Pani dalsze poszukiwania w tej dziedzinie?

— Małe formy to moja „specjalność”. Były programy „No more Hiroshima”, „Pieśń oskarżona” i „Jestem niewinny” (o zbrodniarzach hitlerowskich). W tej chwili przygotowuję „Pamiętnik z powstania warszawskiego” Mirona Białoszewskiego. Myślę także o przeniesieniu na ekran telewizyjny znakomitej noweli Iwaszkiewicza „Młyn nad Kamionną”. W ogóle pomysłów mam mnóstwo, a tu jeszcze dom i dziecko...

— Jest Pani znana ze swej pracowitości i niespożytej energii. Nie tylko twórczej. Była mowa o dziecku. A więc może słów kilka jeszcze o Piotrusiu.

— Dziecko jest zawsze w moim życiu na pierwszym planie, poza

taku w Cisach pozując do pamiątkowych zdjęć kurortu.

— A że Leszka Herdegena oglądaliśmy w roli Judy — realizowała „Ludzi bezdomnych” cała rodzina.

— W Katowicach rezerwowano dla nas apartament: dla trzech osób z psem. Wprawdzie przepisy zabraniają przyjmowania psów do hotelu, ale Raula jako „artystę” potraktowano na wyjątkowych prawach...

— Do „rodziny” Zamkow i Herdegena należy jeszcze polski fiat?

— Samochód jest dla nas nie tyle źródłem przyjemności, co przede wszystkim środkiem transportu. Bardzo wiele jeździmy — często na tzw. daleką prowincję — z naszymi programami małych form teatralnych. Własne auto jest po prostu nieodzowne w naszej pracy.

— Na pożegnanie pytanie zupełnie osobiste: czy ma Pani jakieś marzenie? Może osobistej natury, może artystycznej...

— Osobiste, prywatne — nie. Mam idealnego towarzysza życia, ukochane dziecko. A marzenia artystyczne? Dużo. Ale przede wszystkim marzę o przemianach i stabilizacji w życiu teatralnym. Bo w dzisiejszych warunkach — niemożności dalekosiężnych planów, braku perspektyw — nie można pracować. Ja nie mogę!

Rozmawiała:
KRYSTYNA ZBIJEWSKA